

WUML wczoraj i dziś

6 grudnia 2021

Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu (WUML) powołany w 1952 roku był sposobem kształcenia kadr działaczy partyjnych PZPR. Istniejące przy Wojewódzkich Komitetach PZPR WUML-e przygotowywały aktywistów na potrzeby partyjne. Ich filie istniały przy miejskich i gminnych instancjach partyjnych. Jako dwuletnie studium wieczorowe, czasem ograniczone do jednorocznego toku przygotowania. Działy od października do czerwca niczym rok akademicki. Wprawdzie minimum niezbędne do przyjęcia stanowiło wykształcenie średnie, jednak i od niego były odstępstwa. Deklaracja lojalności partyjnej była najistotniejsza. Harmonogram pracy i zakres przedmiotów nakreślał ideologicznie stosowny wydział Komitetu Centralnego partii uznanej za wiodącą siłę narodu. Wykładowcą mógł być tylko członek partii, albo osoba zawodowo, naukowo i przedmiotowo zgodna z tematyką przewidzianą na kursie. Kandydatami na owe kursy byli członkowie organizacji partyjnych podnoszący wpajaną świadomość i prestiż organizacji. Poddani indoktrynacji absolwenci mieli za zadanie przenosić ideologię na grunt podstawowej organizacji partyjnej czuwając nad poprawnością ideową osób kierujących zakładem pracy, nawet jeśli były one bezpartyjne.

Siermiężne efekty tak działającej oświaty partyjnej przynosiły szyderstwo i politowanie w reakcji na propagandę absolwentów częstych kurso-konferencji. Umęczone wojną społeczeństwo miało podstawowe problemy egzystencjalne do rozwiązania absorbujące dość czasu, by nie zawracać sobie głowy marnując czas na partyjne nasiadówki i głędzenie. Z wojennych zniszczeń odbudowywał się kraj, a jego obywatele cieszyli się możliwością zarabiania środków na utrzymanie rodziny i wykształcenie dzieci. Skromne życie w spokoju pozwalało każdemu rozwijać dowolne zainteresowania w czym ideologia jedynie przeszkadzała. Ambitne miernoty upatrywały w WUML-u odskoczni

do szybszego awansu, co i tak potem weryfikował odbiór społeczny. Powstała kategoria krzykaczy naganiających w szeregi partyjne obok cichych biernych, miernych zawsze wiernych i gotowych donieść zwierzchnikowi o nieprawomyślnym działaniu nieposłusznego elementu wywrotowego. Ciężkim wstydem było zawdzięczać stanowisko warunkowane przynależnością partyjną.

Od tamtego okresu partyjnego siania i żniw, a jego schyłek wyznacza dekada 1980-1990, zmieniła się tylko terminologia. Jako bardziej wyrafinowana (czytaj – ukrywająca cel) ideologia rzekomej wolności wymagającej nieustannej walki, systemowo umacnia patologię. Narzędziami zamiast skompromitowanego WUML-u stały się dziedziny usługowe wobec systemu oraz instytucje parauczelniarne, które w zasadzie poza uiszczaniem chesnego nie rozbudzają w studiujących zmysłu krytycznego, tym bardziej twórczego. Uczelnie państwowe takie jak uniwersytety, politechniki, akademie, widząc w taniej konkurencyjności zagrożenie dla własnego bytu obniżyły kryteria wymagań na początek eliminując egzaminy wstępne. Poddane transformacji zrewidowały profil popularyzując i zawężając kierunki do modnych. Odrzucona samodzielność badawcza, technologie przemysłowe zastąpione zostały zarządzaniem i marketingiem. Potencjał produkcyjny państwa malał, a fachowców od gadania o zarządzaniu przybywało każdego roku coraz więcej. Wśród najpopularniejszych prym wiedzy politologia, zaraz po niej psychologia z socjologią. Politologia to nauka społeczna zajmująca się polityką, zatem całokształtem działań związanych z władzą, jej sprawowaniem, kierowaniem społeczeństwem i państwem. Jej trzema filarami są władza, państwo i polityka. Czy istniejące partie rzekomo gwarantujące pluralizm robią cokolwiek innego? Dla nich społeczeństwo jest obiektem obróbki posłuszeństwa, jak niegdyś w dobie przemysłowej obróbka skrawaniem. W tym procesie równie niezawodnie świadczą przysługę psycholog i socjolog. Doraźnie można jeszcze posłużyć się kościelnymi grubymi rybami. Rolą politologa, oczywiście z dyplomem i tytułem jest uchodzenie za eksperta

doradzającego partiom politycznym jak utrzymać władzę. Sam politolog nieskalany pracą na własny rachunek (co wymaga elementarnej odpowiedzialności) stara się zabłysnąć często obierając ścieżkę dziennikarstwa. W dojściu do znaczenia w partyjnych kręgach potrzebny ostry styl i potępienie PRL-u z zachowaniem głębokiej wiary w niepodległość i sojuszniczą lojalność. Niewymuszona prezencja dopełnia wizerunku człowieka na sprzedaż. Kamery przysporzą powagi i doniosłości wypowiedzianych okrągłych frazesów. Tak rozrosły się dywizje intelektualnych bufonów plotących bzdury o rosnącym PKB, świetnej gospodarce państwa i dobrobycie obywateli.

Robiąc poranną prasówkę czytam o wydarzeniach w kraju. Widzę konferencje partyjne, jakiś uliczny protest we Wrocławiu i mnóstwo wypadków. Jakiś szum wokół wypowiedzi rezydenta pałacu prezydenckiego w Polsce, który jako żywo poczuł w sobie imperatyw Mieszka I i nadał Polsce nową nazwę. Zastanawiam się czy kolejnym krokiem będzie wyznaczenie daty powszechnego obrzezania. Takie nowe przyjęcie chrztu przez nowych analfabetów masowej produkcji ubocznej współczesnych uczelni. Systemowe odrętwienie ma zapewne ożywić wizyta Marine Le Pen, albo opiekuna partii 2050 pana Kobosko. Cała rzeczywistość zasługuje na szyld „Wielkie nieporozumienie”. Elity intelektu dziennikarstwa i pisarstwa od lat przeżuwają bez efektu przejawy „marksizmu kulturowego” trawiając marnie na tej czynności setki godzin poświęcone spotkaniom z dającymi się oświecić równie wartościowymi jednostkami orędowników tematu. Jedni i drudzy uszlachetnieni poziomem spotkania nawzajem adorują się komplementami. Kolejne, bohaterstwem naznaczone książki o Jedwabnem przyjmowane są jakby były raportem z dokończonej ekshumacji. Kiedyś takie spotkania i lektury nazywało się biciem piany, bo stanowiły zmienioną formę tego samego marazmu.

Skoro inteligencja biadoląca dostrzega, że źródłem odrętwienia, czy wylęgarnią chorych idei są uczelnie, zastanawia dlaczego tak płodne intelektualnie gremia nie

wpadły do tej pory na pomysł zaproszenia na swoje spotkania rektora, dziekana dowolnej uczelni, choćby uniwersytetu medycznego, by odpowiedział na szereg ważkich pytań. Jednym z nich może być powód, dla którego akceptują narzucone przez ministerstwo zdrowia ograniczenie liczby przyjęć kandydatów na studia zamiast powiększać bazę kształcenia. Uczelnia medyczna stosując zaporowo wysokie czesne żeruje na tym limicie jako źródle dochodu, co przy braku kadr medycznych powinno skłonić do znalezienia propozycji rozwiązania problemu. Pominę korupcjogenną naturę procederu. Istniejący stan daleki jest od rynkowej odpowiedzi na zapotrzebowanie, a migracją i obniżaniem jakości przygotowania zawodowego nie rozwiąże się dramatycznej zapaści służby zdrowia. Podobnie inne zagadnienia można byłoby rozwiązywać zapraszając inną nietykalną figurę od wójta, przez burmistrza po prezydenta (pod rygorem komunikatu w internecie na wypadek odmowy bez istotnej przyczyny; 3 nieobecności równoznaczne z dymisją). Oni mają wykazać się pracą na rzecz wyborców, a nie służbą dla kręgów partyjnych. Ludzie chcą żyć swoim trybem, a nie aferami wyszkolonych akwizytorów, sportowców, czy perukarzy.

Dostrzegając pełen obraz chorego państwa i administrowania nim, można podjąć celowe kroki naprawcze nie ograniczone do debat, lecz nadające im rzeczowy ciąg dalszy połączony z rozliczeniem z realizacji. Trzeba tylko chcieć. Tylko. Do dzieła zatem.

Autorstwo: Jola

Na podstawie: PulsMedycyny.pl [\[1\]](#), [\[2\]](#)

Źródło: WolneMedia.net